Rok I. Kraków, dnia 13. Października 1907 r. Nr. 7.



ROLA

TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Ustawa łowiecka uchwalona!

Na posiedzeniu swem w dniu 4-go października uchwalił Sejm nasz już ostatecznie nową ustawę łowiecką w drugiem czytaniu. Wkrótce pójdzie nowa ustawa do Wiednia, gdzie rząd przedłoży ją cesarzowi do podpisu. Gdy tylko cesarz podpisze, zajmą się zaraz władze krajowe wygotowaniem rozporządzeń wykonawczych do ustawy, poczem zaraz wejdzie w życie, jako prawo obowiązujące, w miejsce starej ustawy, która z tą samą chwilą obowiązywać przestanie.

Jakie będzie to nowe prawo? Czy dla nas rolników korzystne?

Byłoby takiem niewątpliwie, gdyby Sejm był przyjął

ustawę bez zmiany,

tak, jak ją przedłożył referent sejmowej komisyi, poseł Hupka. Stało się jednak inaczej, i ustawa została ze względu na nasze rolnicze interesa

znacznie pogorszoną.

Rzecz się miała tak: Gdy Sejm przystąpił na jednem ze swoich nocnych posiedzeń do rozprawy szczegółowej nad pojedynczymi paragrafami ustawy i przyjął już pierwsze 3 paragrafy, postawili liczni posłowie do 4 paragrafu cały szereg wniosków o zmianę tego paragrafu. Między innymi postawili posłowie ludowcy wniosek o dodanie do tego paragrafu takiego postanowienia, że włościanie mają mieć prawo łączyć się w spółki miejscowe, w celu polowania na swoich gruntach, o ile one złączone razem najmniej 100 morgów wynoszą.

Wniosek ten zmierzał do zadowolenia tych włościan, którzy lubią wyjść sobie ze strzelbiną na zająca, bo dawał im wszystkim prawo polowania na swoich połączonych w tym celu gruntach. Ale ten wniosek nie liczył się jednak bynajmniej z

potrzebami ogółu rolników,

którzy przez przyjęcie takiego postanowienia narażeni będą na to, że albo całkiem nie będą mogli dojść do należnego im wynagrodzenia szkód przez

zwierzynę i polowanie zrządzonych, albo też będą musieli na ściągnięcie tego wynagrodzenia miesiącami całemi czekać!

Sprawa jest całkiem jasna. Łatwo jest ściągnąć przyznane wynagrodzenie szkody od jednego lub kilku dzierżawców prawa polowania. Inaczej się rzecz przedstawia, jeżeli wynagrodzenie to ściągać trzeba od kilkudziesięciu lub kilkuset osób, zawiązanych w lokalną spółkę myśliwską.

Jeżeli na przykład utworzy się w gminie spółka lokalna myśliwska, obejmująca grunta należące do kilkudziesięciu włościan, a przyjdzie w nocy dzik i zrobi szkodę, lub sarny zniszczą zasiewy, to sąd rozjemczy oszacuje tę szkodę na 50 złr. na przykład, i w tej wysokości wynagrodzenie przyzna, ale

jak się będzie tę szkodę ściągać?

Gdyby w gminie był jeden dzierżawca prawa polowania, to nic łatwiejszego, bo sąd zarządzi zaraz egzekucyę i ściągnie tę kwotę wraz z kosztami z dzierżawcy i poszkodowanemu wypłaci.

Gdy jednak jest spółka myśliwska, to sąd musi wszystkich jej członków egzekwować, musi więc kwotę przyznanego odszkodowania między wszystkich stosownie do obszaru rozłożyć i z każdego osobno wypadające na niego do zapłaty kilkadziesiąt centów ściągać.

Ile to czasu zajmie obrachunek, by kwotę kilkudziesięciu złr. rozłożyć na kilkudziesięciu członków spółki? — z których każdy inną przestrzeń gruntu posiada. Ile to czasu zajmie, zanim się przeciw każdemu, gdy dobrowolnie nie zapłaci, egzekucyę przeprowadzi. A

ile to wszystko będzie kosztować,

ściganie każdego z osobna i egzekucye! Gdy przyjdzie ściągnąć 50 złr., to

same koszta dwa razy więcej wyniosą.

Czyż więc to ma być ułatwieniem w ściąganiu odszkodowań, czy to ma być dla ludności rolniczej dobrodziejstwo?

Powiadają wprawdzie, że sąd w takim wypadku nie potrzebuje ściągać przysądzonej kwoty odszkodowania od wszystkich, tylko wybierze sobie jednego z pomiędzy członków spółki i od tego ściągnie wszystko, a ten ma prawo ściągać potem od wszystkich innych zapłacone przez siebie pieniądze w drodze egzekucyi, ile na każdego wypadnie.

Nie kijem go więc, tylko pałką! Bo cóż z tego, że od jednego się ściągnie i krowę mu się na to sprzeda, kiedy ten potem

innych wszystkich czepiać się musi,

innych egzekwować, krowy im sprzedawać i na koszta narażać ogromne!

Ładna sprawiedliwość dla rolników, by ich na procesa między sobą, na koszta i na wzajemne pomstowania narażać, a wszystko na to, by sobie niektórzy w gminie ze strzelbą chodzić i bawić się mogli!

Taką to poprawkę, taki dodatek do § 4 ustawy wnieśli na owem nocnem posiedzeniu Sejmu ludowcy.

A była to godzina późna. Dwunasta w nocy, gdy wszyscy byli pomęczeni, a starsi posłowie, przeważnie rolnicy, do wczesnego spania przyzwyczajeni, poszli już spać.

Z pomiędzy większych rolników było wtedy w sejmie zaledwie 40-tu. Natomiast Rusini, ludowcy i posłowie miejscy, choć ich ta sprawa mało obchodziła, byli w większej liczbie.

Referent p. Hupka sprzeciwił się wnioskowi ludowców. Gdy jednak przyszło do głosowania, głosowali za dodatkiem ludowców nietylko Rusini i ludowcy, ale wszyscy posłowie miejscy, którzy nie wiedząc o co chodzi, chcieli tylko, jak to czasem bywa rolnikom na despekt zrobić.

No i mieli chwilowo większość głosów. 46 posłów głosowało za wnioskiem ludowców, 40 przeciw i wniosek przeszedł.

Referent p. Hupka złożył wtedy referat, bo

nie chciał dalej popierać ustawy,

która została przez wniosek ludowców

na szkodę rolników popartą.

Referat objął wtedy inny poseł, p. Laskowski no i dalsze paragrafy ustawy zostały już według wniosków komisyi (bo rolnicy byli już ciągle w sejmie) znaczną większością uchwalone.

Przyjęto więc według przedłożenia komisyi i bezwarunkowy obowiązek odszkodowania za szkody zrządzone przez dziki i wszelką inną zwierzynę, i przyjęto mimo sprzeciwiania się ludowców postanowienia, by szkody sądziły miejscowe sądy rozjemcze stanowczo i bez odwołania, bez żadnego rekursu. Lndowcy zaś i Rusini chcieli koniecznie by był rekurs do starosty.

Ustawa więc przeszła z wyjątkiem § 4 tak jak ją wypracował p. Hupka i zawiera cały szereg postanowień dla ludu rolniczego bardzo korzystnych. Ale

dużo zepsuł

ten na wniosek ludowców przyjęty § 4-ty, bo jak przedstawiliśmy uniemożliwia on uzyskanie wynagrodzeń za szkody tam, gdzie będą spółki myśliwskie, które w każdej gminie zawiązywać się będą mogły.

To postanowienie o tworzeniu spółek myśliwskich, jest niewątpliwie bardzo miłem dla tych niewielu rolników, co lubią sobie polować. Będą teraz mogli strzelać bez przeszkody, o ile spółkę taką zawiążą.

Dla nas jednak

ważniejszym jest interes miliona rolników

niż przyjemność niewielu w każdej gminie do polowania ochotę mających. Dla tego też bardzo żałujemy, że nową ustawę łowiecką na niekorzyść rolników, z winy ludowców a nie bez zawinienia tych co zawczasu spać poszli, tak zepsuto. Ale

na to już nie ma rady.

Ustawy raz uchwalonej, w tym samym Sejmie zmienić już nie można. Zmienić ją dopiero może przyszły Sejm.

Od Redakcyi.

Braci rolników prosimy o nadsyłanie listów, które chętnie umieszczamy, jeżeli odnoszą się do spraw obchodzących ogół rolniczy. Listy muszą być wyraźnie podpisywane imieniem i nazwiskiem. Niepodpisanych przysyłać nie trzeba, bo bezwarunkowo nie będą umieszczane.

DO SIEWU!

Jesień idzie! Dzień niedługi!
W spracowane nasze dłonie
Bierzmy rączo ojców pługi,
Siejmy żyto na zagonie!

Niech przy siejbie śpiew w niebiosy
Z utrudzonej piersi płynie...
Strzeli ziarno w bujne kłosy
I srebrzyście się rozwinie!

Jesień idzie ciężka, chmurna,
Pełna smutku i rozpaczy,
Łez pełniutka, jakby urna,
Że człek słonka nie zobaczy!

Rolnik rzuca w ziemię ziarna
Smutno szumi leśna sosna,
Lecz plon wyda ziemia czarna,
Gdy nadejdzie hoża wiosna.

Więc bez smutku, hej, oraczu,
Bierz pług w swoje silne dłonie
Śpiewem żegnaj, zamiast płaczu,
Twoje ziarnka na zagonie!

Gdy zabłyśnie wiosny dzionek,
Runią skryją się zagony,
W chmurach zagra gdzieś skowronek
Ujrzysz, bracie, twoje plony.

Ant. St. Bassara.

Listy od rolników.

Brzeszcze, dnia 29. września 1907.

Z prawdziwem zadowoleniem przeczytałem 4-ty numer *Roli*. Przypadkowo zobaczyłem ją u naszego naczelnika gminy, zaadresowaną na imię mego brata, który przed paru dniami do Ameryki wyjechał — więc podjąłem i przeczytałem. Zaraz *Rola* wpadła mi do serca, jako organ Polskiego Związku Rolników. Wszak i ja jestem rolnikiem i dola rolnika leży mi na sercu, a leży mi tem więcej, ponieważ pomiędzy rolnikami jest rozdarcie.

Jako chłop, myślący należeć do stronnictwa demokratyczno-narodowego, wahałem się z myślą, co *Rola* za jedna, zwłaszcza, że byłem do niej uprzedzony. Aż oto we własne wziąłem ją szpony i przekonałem się, że ona będzie dobra. Zobaczyłem w niej Ferdynanda Kurasia, którego już znam od dawna jako natchnionego poetę, dzielnego Macieja Stopyrę, które takie piękne i mądre pisuje listy, że nie jeden i uczony mógłby z nich brać naukę, a wreszcie przypadł mi artykuł p. Bassary o miłości. Rolnicy! jakiegokolwiek jesteście stronnictwa, złączcie się razem, a złączcie się tam, gdzie powiewa sztandar najprzód waszej, a potem narodowej pracy!

Wyście dzisiaj rozbici właśnie przez rozjudzanie przywódców stronnictw. Wielu z was jedynie się powoduje stronnictwem, przy którym uparcie stoi. Ja znam nie odłamki, ale jedno wielkie stronnictwo, na które już nasze przeznaczenie jako rolników wskazuje. Jestem chłopem, jestem wieśniakiem, jestem rolnikiem, jestem Polakiem. Pod tem hasłem, wspólnie z innymi, którym Bóg ten sam los przeznaczył, nie krzywdząc naturalnie ani większych ani mniejszych, pracować mam w imię uczciwych i zdrowych zasad. Innego przekonania, jak łącznie pracować i łącznie się wspierać — nie uznaję. Takie dobre hasło i *Rola* rzuca — niechby tylko tak dalej! Idąc za tem hasłem i trzymając się zasad narodowych, wstępuję z dniem dzisiejszym, z własnej woli, z własnego rozważania, od nikogo nie nakłoniony, do grona Polskiego Związku Rolników.

Józef Kulka.

Cieklin, pow. Jasło, w październiku.

Przeczytałem pierwszy raz gazetę *Rola* — która ma pracować nad podniesieniem rolnictwa w Galicyi. Otóż i ja także chcę brać udział w tej pracy, oby tylko wszyscy rolnicy gorliwie tem się zajmowali.

Rolnictwo w Galicyi bardzo licho się rozwija, a przecież óno jest niejako fundamentem i podstawą całego społeczeństwa. Niejeden narzeka, że gleba nieurodzajna; otóż błędne jest to mniemanie, bo są gorsze ziemie, a wydają obfite plony, tylko trzeba umieć z nich korzystać. Dawniej miał gospodarz 20 mórg gruntu i nie mógł swojej rodziny wyżywić, a dziś na tej samej roli żyje 5—6 familii i nieraz dostatniej żyją, jak poprzednio jedna. Co jest w tem? Czy zmienia się klimat lub rola? Nie, ani pierwsze ani drugie lecz — oświata.

Więc nad tem nam pracować należy. Nie narzekajmy na panów ani na księży, że oni są wrogami ludu, nie narzekajmy na sądy ani na adwokatów. Mówią czasem, że nie potrzeba tylu adwokatów, że powinny być sądy polubowne. Racya — nie potrzeba tylu adwokatów, dobry byłby sąd polubowny, ale w tym sądzie kto ma zasiadać? Chyba żeby był zaraz przy sądzie kat z piecem ognistym i powiedział: jak się nie zgodzisz, to zaraz idziesz do tej otchłani. Jak zacięty człowiek, to i tak się nie zgodzi a sąd polubowny z takim końca nie dojdzie! Adwokat zresztą nikogo nie woła; nie trzeba się procesować, to i adwokatów nie będzie trzeba.

Cóż tedy jest powodem naszej nędzy? Oto niezgoda! Miłości nam potrzeba, jak napisał w *Roli* p. kierownik szkoły w Niwiskach. A tu prawie wszędzie po miastach a nawet po wsiach ludzie dzielą się na dwie i na trzy partye; jeden ciągnie w przód, drugi w zad. Możeż tak zapanować dobrobyt w kraju?

Słychać też słowa: Precz z księżmi, precz z religią — w polskim kraju!! I możeż Pan Bóg błogosławić takim ludziom? Otóż i u nas w Cieklinie póty było spokojnie, póki agitatorzy ludowców nie zapuszczali tu swych żądeł.

Mamy księdza bardzo dobrego. Co on dobrego zrobił dla parafii — chyba bym całą gazetę o tem spisał. Za jego staraniem powstały cztery kółka rolnicze, w parafii wybudowano nowy kościół

i plebanię; zajmował się parcelacyą obszaru dworskiego i sprzedał przeszło sześćset morgów gruntu po umiarkowanych cenach; wielu ludziom też własnym kosztem ułatwił wyjazd za zarobkiem do Ameryki. A teraz co? Jak mu dziękują za to agitatorzy? Mówią, że dość ma ksiądz jedną krowę i jedną łyżkę; a co jeszcze ciekawsze, ponieważ u nas w polach jest bardzo wiele myszy, więc agitatorzy biedzą, że „za to są myszy, że jest zły Pasterz“. Im każdy ksiądz niedobry, bo z nimi nie trzyma! Przekonajcie się, Bracia, jak się tym ludziom w głowie przewróciło! My nie oczerniajmy księży, nie przedstawiajmy ich sobie jako wrogów ale wspólnie pracujmy nad podniesieniem dobra ogólnego, hasłem zaś naszem niech będzie: Za Wiarę i Ojczyznę!

Piotr Twardzik, centrowiec z Cieklina.

W sprawie klęsk elementarnych.

Wiadomo, jak dotkliwe straty przynoszą rolnikom klęski elementarne. Komisya reform rolniczych przedłożyła Sejmowi sprawozdanie w sprawie ubezpieczenia przeciw klęskom elementarnym; ze sprawozdania tego widać, jak groźnie przedstawiają się w cyfrach straty rolników.

Oto gdy w ostatnich czterech latach musiano odpisywać podatek gruntowy z powodu klęsk elementarnych, odpisy wynosiły przeciętnie 2,190.000 koron. Ponieważ podatek gruntowy wynosi najwięcej 5 procent dochodu, więc szkody powinnyby wynosić 43,800.000 koron. Nie są to jednak dokładne liczby, szkody wynoszą o wiele więcej. Większa część kraju została w tym roku nawiedzoną wyprzaniem oziminy, a zbiór pszenicy i żyta zmniejszył się co najmniej o 5 milionów cetnarów, więc rozmiar samej klęski tegorocznej wynosi miliony koron!

Straszne są także szkody, zrządzane przez powodzie. Powódź z roku 1884 zrządziła szkód na 27,468.000 koron. Powódź z roku 1906 — według obliczenia namiestnictwa — trzydzieści jeden milionów koron. Grady robią co rok naszym rolnikom szkody na ośm milionów koron. Komisya powiada też, że rocznie wynoszą szkody z powodu klęsk elementarnych mniejwięcej sześćdziesiąt milionów koron. A przecież rolnicy nasi są biedniejsi, niż rolnicy za granicą! Najmniejsza klęska jest dla naszych rolników ogromną stratą.

Odzywały się głosy, aby z powodu tak wielkich klęsk, wprowadzić przymusowe ubezpieczenie. Swego czasu zajmowały się tą sprawą rządy pruski i rosyjski, lecz zaniechały jej. Okazało się, że koszta ubezpieczenia przeciw wszelkim klęskom elementarnym byłyby bardzo wielkie. Rolnicy nie podołaliby im nawet przy pomocy skarbu państwa i kraju. Dlatego komisya reform rolniczych nie proponowała Sejmowi przymusowego ubezpieczenia.

Wiadomo jednak, że ustawa austryacka odróżnia dwa rodzaje klęsk elementarnych: zwyczajne i nadzwyczajne. Jeżeli zwyczajne klęski elementarne zniszczą na jakiejś parceli katastralnej przynajmniej czwartą część plonu, wtedy następuje odpis podatkowy. Jeżeli natomiast przyjdzie klęska nadzwyczajna, to obliczenie robi się inaczej. Mianowicie odpis podatku następuje dopiero wtedy, gdy klęski zniszczyły plon na parcelach, których dochód katastralny wynosi co najmniej czwartą część dochodu wszystkich uprawnionych parcel. Za podstawę odpisu bierze się wtedy nie obszar gruntu, ale czysty dochód katastralny.

Otóż takie rozróżnianie klęsk na zwyczajne i nadzwyczajne uznała komisya za niczem nie uzasadnione. W dodatku taki podział prowadzi za sobą w praktyce częste niesprawiedliwości. Dlatego komisya reform rolniczych wniosła, aby wezwać rząd do usunięcia tej krzywdy. Rząd niech wniesie w parlamencie wiedeńskim taki projekt, który zniesie podział klęsk elementarnych na zwyczajne i nadzwyczajne. Wówczas odpisy podatkowe będą przyznawane zawsze już przy takich szkodach, które pochłonęły jedną czwartą część plonu na dotyczącej parceli katastralnej. I takie wezwanie na wniosek posła Kramarczyka Sejm uchwalił.

Posłowie rolniczy powinni też działać w sprawie regulacyi rzek, bo z tego największe klęski elementarne. Powinni o tem pamiętać zwłaszcza posłowie należący do Koła Polskiego w Wiedniu, bo ci mają wpływ, jako członkowie dużego stronnictwa i z nimi rząd musi się liczyć, nie tak, jak z członkami jakiejsić małej partyjki.

W JESIENI.

Smutno, ponuro, zimno na świecie
Wiatr opadłymi liściami miecie
W jesiennym wietrze coś jakby płacze...
I szara wrona ponuro kracze.

Smutno na świecie, tęskno na świecie
Powiędły krzewy, zioła i kwiecie
A od zarania aż do zarania
Szara mgła smutkiem ziemię osłania.

Ranne, wieczorne pogasły zorze
Smutno, mój Boże! tęskno, mój Boże!
Do dni wiosennych duch wzdycha skrycie
Smutny, jak smutne nad grobem życie.

Jantek z Bugaja.

Amatorów fotografów prosimy, aby przysyłali nam zdjęcia, które będą w „Roli“ umieszczane i honorowane według umowy. Pożądany krótki tekst z opisem, co przedstawia fotografia. Najchętniej przyjmujemy wszystko, co się odnosi do rolnictwa i życia rolników.

Z doświadczeń rolniczych.

Świeże siano i świeży owies jako karma dla koni.

Każde siano — pisze *Ziemianin,* organ rolniczy, wychodzący w Poznaniu — chociażby jak najsuszej zostało zebranem, przechodzi czy to w stodole czy w stogu proces fermentu, który, zależnie od jakości siana i sprzętu, trwa od trzech do sześciu tygodni. To samo dzieje się z omłóconym owsem.

Doświadczenie uczy, że każde siano i owies, które tego procesu nie przeszło, zdrowiu koni jest szkodliwem. Z powodu tego żaden doświadczony gospodarz takiej karmy koniom nię daje. Lepiej jest o wiele dla koni, że chociaż mniejsze porcye, ale zdrowej paszy dostawać będą, aniżeli karmienie ich takim nie wyfermentowanym obrokiem, który w skutkach swych wywołuje kolki i rozwolnienie. Pasza ta nie dla wszystkich jednak koni jest niebezpieczną. Koniom bez temperamentu, które zazwyczaj dużo i chciwie jedzą, świeżego owsa i siana dawać nie można; nie tylko bowiem zapadają na choroby wewnętrzne, ale dostają opuchnięcia nóg, które czasami niczem spędzić się nie daje, i wywołuje sztywność nóg. U koni żywego, ognistego temperamentu nie zauważono nigdy tego i zdaje się, że takim ani świeży owies, ani świeże siano nie szkodzą.

W celu skonstatowania szkodliwości tych pasz zarządzono w wielu armiach przeprowadzenie pod tym względem dokładnych doświadczeń. W armii francuskiej wydano rozkaz, aby świeżego siana i owsa nie dawano koniom w południowych prowincyach przed 1 września, w północnych przed 1 października. Przed kilku już laty wybrano komisyę, w celu zbadania szkodliwości takiej świeżej paszy i przeprowadzenia pod tym względem doświadczeń. Wynikiem tych badań było, że świeże siano, zmieszane z inną starą karmą, zdrowiu zwierząt nie szkodzi. Niektóre konie, powolniejszego i leniwszego temperamentu, okazywały pewne osłabienie, pociły się więcej, a kał ich był rzadszym. Stan ten trwał jednakże tylko dni kilka, poczem wszelkie oznaki chorobliwe znikały.

Stwierdzono przy tej sposobności i to, co każdemu rolnikowi jest wiadomem, że konie z większą chęcią jedzą świeże siano, aniżeli stare. Jak już wyżej powiedziano, u niektórych tylko koni zauważono przejściowe zaburzenia w całym organizmie, reszta była zdrową, dobrze wyglądała, włos miała gładki, lśniący.

Doświadczenia te przeprowadzono z 150 końmi w wieku 4—13 lat; 30 z nich przybrało na mięsie, 18 także na sile i wytrzymałości, podczas gdy 18 schudło a 5 osłabło; u 79 nie zauważono żadnej zmiany.

Drugie doświadczenie, również na 150 koniach przeprowadzone, dało te same rezultaty.

O wiele gorzej wypadło doświadczenie trzecie z 74 końmi, którym odebrano całą starą racyę, a natomiast dawano tyle świeżego siana, ile dawniej dostawały siana, owsa i słomy razem. Choroby żadnej wprawdzie nie stwierdzono, ale wszystkie konie źle trawiły, osłabły, pociły się nadmiernie, straciły apetyt i łatwo się męczyły.

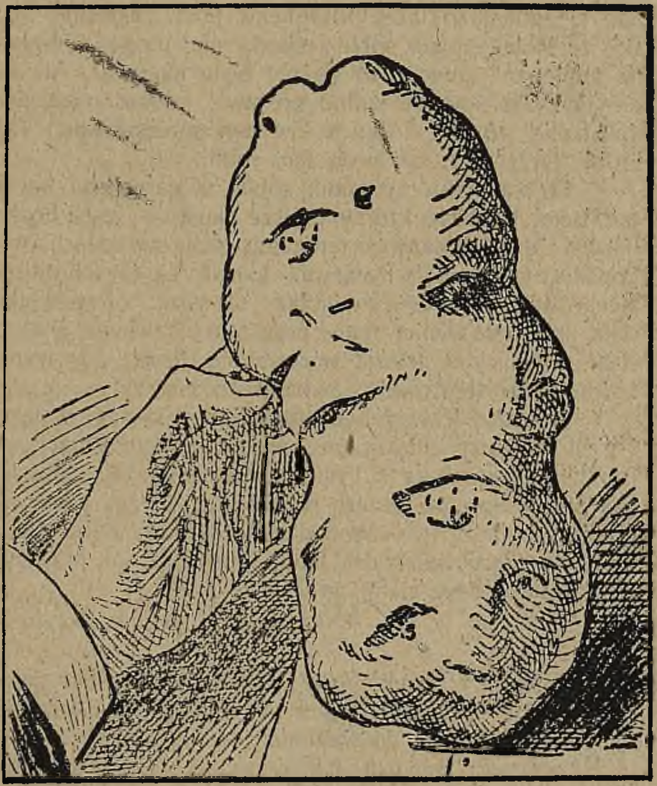
Świeży owies, skarmiany bez równoczesnego zadawania świeżego siana nie wywołał żadnych złych skutków u 180 koni.

Świeży owies, w miarę zadawany, z dodatkiem soli, można więc koniom dawać, naturalnie jeżeli przytem dostaną starego siana.

Z doświadczeń tych możemy wyciągnąć wniosek, że bez obawy można koniom roboczym dawać świeży owies i stare siano, nigdy jednak odwrotnie. Świeżego siana nigdy zadawać nie trzeba, a tem mniej potrawu, szczególnie, jeżeli trawa wyrosła bujnie, a sprzęt był trudnym, co zwykle się zdarza. Potraw wogóle nie jest odpowiednią paszą dla koni.

Wóz Drzymały

zamieszczony przez nas w illustracyach poprzednich numerów, doczekał się światowej sławy. Podobiznę jego dały pisma zagraniczne, rozchodzące się po całym świecie: *Illustracya* paryska, oraz *Świat illustrowany*, również paryski. Dowiedzieli się też o Drzymale Anglicy ze swoich pism, a że Prusaków bardzo nie lubią, więc też wypisali im słowa prawdy. Rosyanie także Drzymałą się zaciekawili. Niejaki Szarapow z Moskwy, właściciel fabryki pługów, ofiarował Drzymale pług swego pomysłu i posłał mu go ze serdecznym listem. Drzymała pokwitował właśnie odbiór pługa w pewnem piśmie poznańskiem.



Ziemniak z ludzką twarzą
(patrz „Nasze ryciny“).

Na tem jeszcze nie koniec. Oto wóz Drzymały jest stary i biedak nie wie, jak w nim przetrzyma zimę. Dlatego pisma polskie pod Prusakiem zbierają składkę na nowy wóz dla Drzymały. Zebrali już paręset marek. Pewien stolarz, Polak, pracujący w Berlinie, wypracował

plan takiego wozu. Zdarzyć się może, że Polacy będą zmuszeni coraz częściej mieszkać w wozach, skoro Prusacy im nie pozwolą stawiać chałup! Ten stolarz zrobił plan wozu, mającego jedną sporą izbę i kuchenkę. Wewnątrz miałby taki wóz długości 7½ metra, szerokości 3½ metra, miejsca byłoby w nim 26½ metrów kwadratowych. Wóz taki kosztowałby 1000 marek.

Powiedzieliśmy, że może więcej Polaków będzie musiało zamieszkać w wozach Drzymały. Już pokazały się w pismach, nawet niemieckich, ogłoszenia, że Polacy poszukują takich wozów. Dwóch wozów odrazu szuka p. Dokowicz z Kruchowa w powiecie żnińskim; jeden chce kupić niejaki Walter z Gniewkowa. Dzienniki przypuszczają, że wkrótce potrzeba będzie wozów coraz więcej. Bo Drzymała zamieszkał w wozie nie dla zabawy, ale dlatego, że mu nie dali chałupy postawić. Chciał ją zaś stawiać na gruncie, który zakupił przy parcelacyi.

I w tem cała historya. Prusacy nie chcą pozwolić polskim rolnikom na kupowanie ziemi. Ale że samemu kupnu przeszkodzić nie mogą, więc starają się odstręczyć ich innymi sposobami. Najwięcej rolników polskich osiedla się w ten sposób że kupują kawałki ziemi przy parcelacyi. Zakazać im tego nie mogą Prusacy, cóż więc robią? Oto wydali prawo, że każdy, kto chce zbudować chałupę na parceli, musi dostać pozwolenie od władzy. Kto się podaje o takie pozwolenie temu zakazują. Myślą, że Polak powie sobie: skoro nie mogę mieszkać na kupionym gruncie, to go nie będę kupował. Ale się omylili! Chałupy nie wolno postawić, to wolno sprowadzić sobie wóz na kółkach i w nim zamieszkiwać! Tak zrobił Drzymała, tak będą inni robili.

Bo ludzi, którzy kupili sobie na parcelacyi kawałek ziemi i takich, którzy jeszcze kupią — jest i będzie bardzo dużo. Niektórzy teraz mieszkają w dołach, wykopanych w ziemi. Ponieważ jednak są to schroniska niezdrowe, więc lepiej mieszkać w wozie. Przez jakiś czas, po ogłoszeniu tego prawa o stawianiu chałup, ruch parcelacyjny trochę zmalał, ale teraz, gdy wynaleziono „Drzymałówki“, znów się rozszerzy.

A nadto Polacy będą kupowali u swoich stolarzy i cieślów wozy mieszkalne, więc i na tem Polacy zarobią. Mądra sztuka z Prusaka, ale nie bardzo. Słusznie zaś pisały uczciwe gazety niemieckie: „Jeżeli pisma zagraniczne dadzą choćby jedną fotografię wozu Drzymały, to więcej zaszkodzą nam, Niemcom, jak przez sto artykułów z napaściami na nas“.

*
* *

Współpracownik *Gazety Grudziądzkiej* był nawet osobiście u Drzymały. Oto jak opisuje swój przyjazd na stacyę kolejową do Rakoniewic:

Stacyjka maleńka, jak wszystkie. Wioski ani dudu. Za to kawałeczek od stacyi, tuż nad torem kolejowym, widzę jakieś obozowisko. Czyżby cyganie rozgościli się pod gołem niebem?

Ale nie, to mieszkanie, letnisko sławnego Drzymały. Z kominka maleńkiego sterczącego nad wozem wydobywa się cieńki słup dymu. Podchodzę. — Kobieta w starszym już wieku, pracuje nad zalepianiem dziur i szpar wozu, którego okienka, widać niedawno dopiero wstawiono.

— Czy to wy pani Drzymalina?

— A dyć jo!

— A mąż wasz gdzie?

— A gdzieby, tam, gdzie każdy dobry Polak: w kozie!

— Co, w kozie, a za co?

— A dyć za to, że tutaj zamieszkał, na tym gruncie. Skazali go za to na 120 marek kary, a że nie miał pieniędzy na zapłacenie jej, więc poszedł na 14 dni do kozy. Ale wspaniałomyślni Prusacy wiedzą, że teraz robota, — więc pozwolili mu odsiadywać „na raty“, dwa razy po tygodniu. Ciągle tutaj ludzie przyjeżdżają. To Niemcy, wczoraj Francuzy tu jakieś były, to Polacy, a Bóg wie, jakie jeszcze „nacyje“ tu zjadą.

— Więc to wasz wóz? Przecież on się rozlatuje, jak wy chcecie w nim przezimować? zmarzniecie!

— A co robić, kiej Prusaki nie pozwalają chałupy postawić. Starał się tam mój stary dość, ot i wystarał sobie kozę, chociaż przy wojsku go gefreitrem zrobili.

— Czy zawsze mieliście grunt?

— Nie! mój był robotnikiem, uciułaliśmy sobie trochę grosza i kupili przed trzema laty to gospodarstwo. Naprzód mieszkaliśmy w stodole, wypędzili nas stamtąd. Kupił więc „mój“ tę ruderę, ale patrz pon, ona się cała rozłazi. Będzie nam bieda zimą.

— A to co? — pytam, spostrzegłszy tuż przy wozie gruzy nasypu, przypominającego kominek polowy.

— A dyć my tam gotowali sobie strawę, ale przyszła policya i rozrzuciła nam ten piec, a teraz mój został za to skazany na 30 marek kary; czem ją zapłacim, nie wiemy.

Z całą gotowością pokazuje mi Drzymalina wnętrze wozu, objaśniając, że okna dopiero Drzymała wstawił. Koło uszu czuję przeciąg powietrza. Nic dziwnego, toć szpar pełno, a na dworze wiatr. Wreszcie zabieram się do fotografowania. Żałuję mocno, że niema Drzymały i dwóch jego synów, którzy poszli gdzieś w świat na zarobek. Za to Drzymalina z najmłodszym synem „pozuje“ mi chętnie. Gdym pożegnał Drzymalinę, przyszło mi na myśl do głowy, czyby nie warto otworzyć składki, zebrać pieniądze, kupić Drzymale obszerny, mocny wóz, a tę rozlatującą się ruderę posłać jako pomnik „dobrodziejstw“ pruskich do Krakowa lub Raperswylu do muzeum. Niechby ludziska po wsze czasy studyowali na wozie Drzymały „kulturę pruską“.

KRONIKA.

Praca oświatowa na kresach Polski, na Śląsku, przybiera coraz większe rozmiary. Nasi bracia Ślązacy garną się do nauki, podawanej im przez ludzi dobrej woli z Galicyi. Zakładają się na Śląsku szkoły polskie i czytelnie, aby chroniły Polaków przed znieniczeniem. Na Śląsku mieszkają nietylko Polacy, ale Niemcy i Czesi. Polacy są biedni, Niemcy i Czesi bogaci, silni, więc starają się Polaków gnębić, niemczyć ich, albo przemieniać na Czechów. Otóż Galicya musi bronić swych braci i wspierać ich, aby zostali Polakami, a nie stracili swej wiary i narodowości. Najlepsza obrona, to oświata, więc praca oświatowa jest na Śląsku bardzo ważną.

Przed niewielu dniami odbył się właśnie w Oświęcimju wiec, urządzony przez Towarzystwo Szkoły ludowej z Krakowa i przez Związek Pracy Narodowej, również z Krakowa. Polacy przyszli tłumnie i słuchali z ciekawością pięknych przemówień. Mówili między innymi: pp. Janusz Dymek i Michał Magiera, delegaci Związku Pracy Narodowej. Pierwszy obszernie omawiał położenie Polaków na Śląsku, przedstawiał że Niemcy groźnie agitują, aby niszczyć polską pracę oświatową

i zachęcał zebranych, aby spieszyli z pomocą towarzystwu śląskiemu Macierzy Szkolnej, składając, co kto może.

Śpiewano dalej pieśni narodowe i uchwalono szereg rezolucyj, z których na szczególną wzmiankę zasługują dwie: jedna, aby szerzyć dobrą oświatę, druga, aby prenumerować pisma i gazety uczciwe, a dzieciom trunków nie dawać. Reszty uroczystości dopełniły przemówienia pp. Kulczyckiego i Rzeszótki, deklamacya itd. Podajemy czytelnikom obrazek, przedstawiający grupę uczestników, biorących udział w tym wiecu, wraz z komitetowymi.

Nasze ryciny. Obok portretów osób działających w powieści naszej „Nippon Banzaj!" zamieszczamy dziś ciekawy obrazek, który przedstawia, jak w Ameryce ludzie sprzedają części ciała takim, którzy je postradali. Nauka leczenia poszła w ostatnich czasach bardzo naprzód, zwłaszcza tak zwana chirurgia, czyli nauka operowania, wycinania szkodliwych narośli, odejmowania rąk i nóg, jednem słowem nauka leczenia za pomocą operacyi. Już dawniej lekarze umieli, gdy kto naprzykład nos stracił, dorabiać mu drugi nos w ten sposób, że wycinali mu kawałek ciała z ręki i przyprawiali na miejsce, gdzie był nos. Teraz, jak piszą z Ameryki, coraz więcej takich sztuk lekarskich ludzie robią.

Niedawno temu pojawiło się w amerykańskich gazetach ogłoszenie, że pewien doktór, nazwiskiem Winslów, chce kupić rękę, nogę i ramię człowieka. Po co? Oto pewien bogaty fabrykant, niejaki Munro, stracił w wypadku kolejowym lewą rękę, lewą nogę i prawe ramię. Ponieważ zaś był bardzo bogaty, więc ogłosił za poradą doktora, że da ogromne pieniądze temu, kto mu sprzeda swoje członki. Doktór Winslow i drugi lekarz Nelden, znany operator, obiecali mu bowiem, że przyprawią mu rękę, nogę i ramię, gdy tylko znajdzie się chętny człowiek, aby mu to wszystko odprzedać. Dotychczas miało się już zgłosić kilku ludzi, między innemi jakaś panna! Dzienniki podają teraz jej portret i portret owego kaleki-fabrykanta. Oba portrety znajdą czytelnicy na naszym obrazku, który przedstawia oprócz tego operacyę przenoszenia nosa i przenoszenia ucha. Robi się to w ten sposób, że np. przy przenoszeniu nosa, wycina się ciało na nos z ręki, i przykłada w tem miejscu, gdzie był nos. Nie można jednak poprostu wyciąć i przyłożyć, aby się zrosło. Ciało, które przyjdzie na miejsce nosa, musi przez jakiś czas pozostać na ręce i w tym celu zawiązuje się rękę tak, aby ciągle trzymała się przy nosie. Gdy się z nosem zrośnie, wtedy odcina się ostatecznie rękę, i nos zostaje. Obrazek nasz przedstawia nadto przeniesienie ucha z człowieka na człowieka. Obaj muszą leżeć długi czas koło siebie związani bandażami, tak, aby ucho miało czas przyrosnąć, a potem odłącza się je od głowy dawnego właściciela i ucho zostaje przy nowym. Tak piszą dzienniki amerykańskie.

Podajemy wreszcie obrazek, który przedstawia kartofel, znaleziony u pewnego rolnika pod Wiedniem. Kartofel ten posiada wyraźne zarysy twarzy ludzkich i to paru. Pokazywano go też jako osobliwość.

Obiecanki poselskie. Pisaliśmy już nieraz w *Roli* jak to spełniają się obiecanki niektórych panów posłów. Jakoś nigdzie nie widać tych złotych gór, o których niektórzy posłowie opowiadali. Spełniło się natomiast jedno, czego nigdy nie obiecywali, ba, z czem baliby się wygadać przed wyborcami. Mianowicie spełniło się dostawanie przez posłów „dziesiątek" z pieniędzy podatkowych, mimo że parlamentu nie było!

Oj, te dziesiątki! Pisali o nich już rolnicy w naszej gazetce, skarżąc się i utyskując, ile to pochłania próżnowanie posłów. Jeżeli mądry i rozumny poseł, to odrobi potem te daremne dziesiątki, ale gdy głupi, gdy nic nie umie, tylko judzić rolników na siebie i obiecywać wyborcom niestworzone rzeczy — to bierze za darmo i jeszcze może śmieje się w kułak ze swoich wyborców!

Ale przeciw temu ograbianiu rolników przez ludzi co nic nie umieją — budzi się już silny ruch. Rolnicy spostrzegają, że niejeden poseł tylko ich ćmi. To też sejmiki relacyjne i wiece niezawsze kończą się dobrze dla takich zanadto sprytnych amatorów dziesiątek. Oto np. odbywał się w Lipicy górnej, w powiecie rohatyńskim wiec chłopski. Poseł ruski, Lewickij, znowu zaczął obiecywać wyborcom Bóg wie co. Wtedy jeden z obecnych, rolnik, niejaki Ludkiewicz, tak odezwał się do posła:

— Wy nam, panie pośle, wiecznie obiecujecie i obiecujecie bardzo wiele, a z tych obiecanek my nie mamy żadnego pożytku. Wy, posłowie, przechwalacie się, że nas kochacie, a my tylko widzimy, że wy bierzecie dziesiątki nawet i wtedy, kiedy nie radzicie w parlamencie. Jeżeli naprawdę nas tak kochacie, to pokażcie to czynem. Zrzeknijcie się tych pieniędzy na rzecz sprawy narodowej, bo owe dziesiątki wam się wcale nie należą!

Jak gdyby piorun z jasnego nieba strzelił — takie zapanowało pomięszanie. Pan poseł musiał bardzo pokornie tłómaczyć się i wykręcał jak mógł sprawę tych dziesiątek. Opowiadał, że wprawdzie biorą dziesiątki, lecz za to „muszą być na każde wezwanie w parlamencie" a „tam zawsze roboty huk". Potem opuścił zgromadzenie, zapewne z rzadką miną.

Ciekawość, czy i polscy rolnicy pytają się swoich posłów, tych obiecankarzy, o owe dziesiątki? Jaką też dostaliby odpowiedź? Czy równie — mądrą jak ruscy?

Pieniądze emigrantów w Ameryce. Sprawozdanie generalnego komisarza Stanów Zjednoczonych dla wychodźtwa za rok 1906/7 wykazuje — że emigranci przywieźli do Stanów Zjednoczonych ogółem 19.212,286 dolarów majątku. Na poszczególne kraje rozkłada się powyższa kwota w cyfrach, które podajemy niżej, trzeba jednak dodać, że wychodźcy międzypokładowi często nie podają wysokości posiadanej gotówki dokładnie, lecz część zatajają.

Narodowość	Ilość emigrantów	Kwota dolarów	Proc. na głowę
Włosi	271.127	3,969.454	36·09
Żydzi	120.667	1,517.383	13·40
Polacy	**114.360**	**1,279.303**	**11·29**
Niemcy	74.485	2,747.731	36·80
Węgrzy	58.611	980.180	16·90
Grecy	41.591	843.005	20·09
Kroaci-słoweńcy	34.578	474.099	13·75
Anglicy	29.182	1,480.218	50·72
Irlandczycy	26.445	625.351	23·65
Rusini	21.211	237.793	11.21
Litwini	19.987	207.199	10·37
Bułgarzy, Serbowie, Czarnogórcy	16.727	268.881	16·08
Rumuni	14.365	197.470	13·75
Holendrzy	10.963	379.554	34·62
Rosyanie	9.738	153.550	15·77
Francuzi	8.328	527.912	63·39
Czesi, Morawianie	8·732	216.424	24·79
Finlandczycy	7·477	144.884	19·38
Dalmatyńcy, Bośniacy	6.954	127.657	18·36
Portugalczycy	2.563	58.427	22·79

Przeciętny majątek wychodźca wynosił 19·12 dolarów. Procentowo najbogatsi wychodźcy rekrutowali się z Francuzów (63·39 proc.), zaś najbiedniejsi z Litwinów (10·37 proc. na głowę). Największe sumy wnieśli Włosi, (ale też i największa liczba Włochów wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych), a następnie Niemcy.

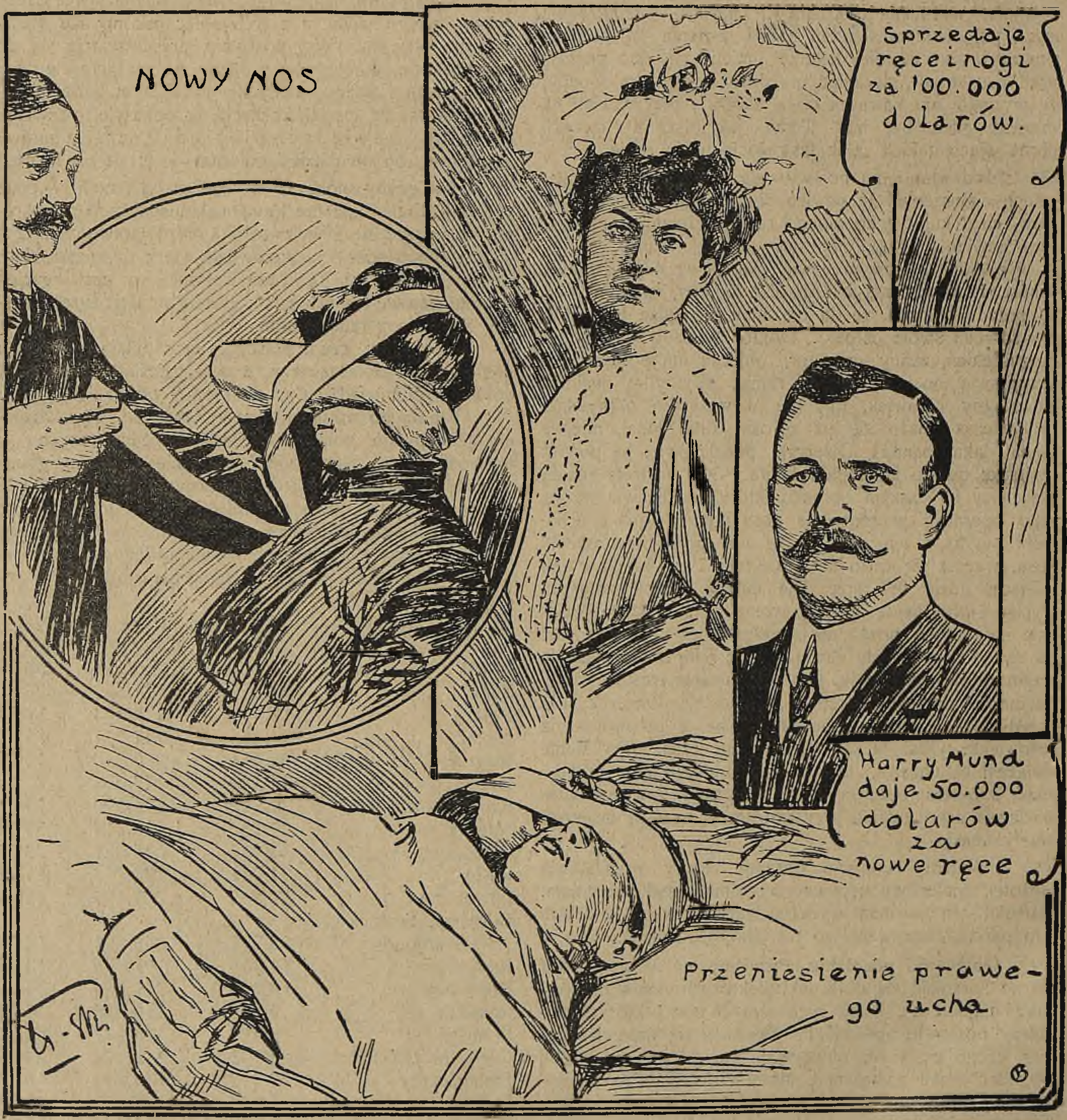
Polacy więc podług powyższego zestawienia wywieźli z kraju do Ameryki 1,279.303 dolarów, czyli przeszło 5 milionów marek.

Oczywiście, suma pieniędzy wysłanych przez Polaków z Ameryki jest o wiele wyższą.

Kto z nas dwóch zwaryował? Tak musiał zapytać się swojej żony niejaki Jan Klimowicz, rolnik z krakowskiego, gdy pojechał do Chicago aby odnaleść tam swoją żonę. Klimowiczowa wyjechała mianowicie przed paru laty niewiadomo gdzie i nie dawała o sobie znaku życia. Klimowicz dostał przed pół rokiem list od niej, że bawi w Chicago. Natychmiast zabrał się, a że pieniędzy mu nie brak, więc pojechał do Chicago szukać żony.

Szukał długo i nie mógł znaleść. Myśli sobie: chyba wrócę do domu sam. Aż tu naraz widzi ją, jak siedzi w licznem towarzystwie. Podchodzi, gada, ale jego żona powiada stanowczo, że go nie zna, że nie jest jego żoną. Jak to? Przecież człowiek zna chyba swoją żonę? Nic nie pomogło; biedak musiał zabrać się z kwitkiem. Został jeszcze jakiś czas w Chicago, znowu zobaczył żonę, tym razem w tramwaju i w to-

PARCELACYA CZŁOWIEKA.



Wszystko na sprzedaż (patrz „Nasze ryciny“).

Z PRACY OŚWIATOWEJ NA ŚLĄSKU.



Wiec w Oświęcimiu (patrz „Kronika“).

warzystwie jakiegoś młodego człowieka. Znowu przystępuje, gada, tłómaczy, a zapalił się przy tem tak, że owa żona kazała go aresztować i zaskarżyła do sądu o napastowanie.

Przychodzi dzień rozprawy sądowej. Do sądu sprowadził biedak Klimowicz z Galicyi matkę swojej żony, jej ojca i dwóch braci. Ale tamta kobieta też nie próżnowała. Sprowadziła również świadków, którzy zeznali, że jest ich córką, że nie jest żoną Klimowicza, tylko panną, i że ma narzeczonego, jakiegoś organistę! Urodziła się co prawda w Galicyi, bo oni także pochodzą z Galicyi, lecz wyemigrowali już przed sześciu laty stamtąd i nigdy potem do kraju nie wrócili.

Ba, ale gadać można, ile kto chce. Trzeba przedstawić sędziemu dowody! Obie strony natychmiast to zrobiły. Jedna rodzina przedstawiła metryki, druga także. Z jednych metryk wynikało, że kobieta oskarżająca Klimowicza, jest jego żoną, a córką ludzi, którzy przyjechali umyślnie z Galicyi na sąd; druga metryka udowadniała nad wszelką wątpliwość, że ta sama kobieta jest córką ludzi, których ze sobą przyprowadziła! Co lepsze, obie strony przedstawiły fotografie swoich córek z lat dziecinnych i fotografie te są podobne do siebie jak dwie krople wody. Obie matki też przysięgały się przed sądem, że ta kobieta jest ich córką i oburzały się, że córka może zaprzeć się swej własnej matki!

Sędzia nie mógł się połapać w tak dziwnej historyi. Odesłał też akta i metryki do namiestnictwa we Lwowie, aby zasięgnąć języka. Cóż mogło namiestnictwo stwierdzić? Oto to chyba, czy dokumenty są czy nie są w porządku. Otóż pokazało się że są w porządku wszystkie, zarówno te, z których wynika, że mniemana żona Klimowicza jest jego żoną i córką jednych świadków, jak i te, które świadczą, że żoną Klimowicza nigdy nie była i że jest córką zupełnie innych rodziców! Jaki wyrok wyda teraz sąd w Chicago?

Pobili się dwaj posłowie z zachodniej Galicyi po twarzach bardzo brzydko. Nie wymieniamy ich nazwisk, bo tacy tylko wstyd przynoszą ludowi, z którego wyszli. Jeden chciał dokuczyć drugiemu i wygadywał na niego, że wyzyskuje ludzi; napastowany spotkawszy za parę dni swego przeciwnika, wszczął z nim kłótnię i dał mu dwa razy w twarz, Obity wziął się znów do kija, ledwie ich rozdzielili. Prawdziwe to zgorszenie i obraza Boska. Czy to mają być funkcye poselskie, za owe darmo brane dziesiątki? Ale jak rolnicy przyjdą do zrozumienia swej siły, jak będą zgodni między sobą i nie dadzą się ćmić, to wówczas nie będzie takich posłów, co skaczą do siebie jak koguty. Rolnicy nie potrzebują takich posłów.

Kij ma dwa końce. Wśród Rusinów są różne partye, które kłócą się między sobą sobą. Mniejwięcej

tak, jak u nas. To też rolnicy ruscy także są ofiarami polityków, którzy judzą ich na siebie i rozdzielają, aby wydzierać im mandaty dla siebie. Wszystkie te partye prześcigają się w nienawiści do Polaków, a także w wymyślaniu na siebie. Najzażarciej agitowali tak zwani „ukraińcy“, ale i starorusini czyli moskalofile także od nich się dobrze nauczyli agitować. I co się teraz dzieje? Oto, zamiast pracować zgodnie dla dobra rolników, zjadają się między sobą. W parlamencie się rozbili na dwie grupy — coś tak, jak posłowie rolniczy polscy — a w kraju jeden drugiego w łyżce wody by utopił. A co ma z tego wszystkiego ruski rolnik? Nic nie ma, tak samo jak polskiemu rolnikowi nic z kłótni różnych polityków nie przyjdzie.

Otóż co parę dni odbywają się wiece tych partyi ruskich. Pisaliśmy już, jakie to ładne rzeczy dzieją się na tych wiecach, jak to biją się pałkami i jak maczają sobie nawzajem łby w gnojówce. Teraz znowu słychać, że ulubionym sposobem walki politycznej stało się tam obrzucanie się nawzajem jajami. Gdzie się odbywa wiec jednej partyi, tam druga przychodzi i obrzuca przeciwników jajami. Jaja się rozbijają, żółtko i białko maluje panów polityków po twarzach i ubraniach.

A cóż z tego rolnikom? Kto z polskich rolników tak się pyta, niech zapyta się nasamprzód samego siebie: co mu przyszło z kłótni, jakie wyprawiają między sobą różne partye polityczne? Co mu przyszło z obiecanek tych, co szczują na siebie rolników polskich? Dobrze nam się śmiać z takiego polityka ruskiego, co dostał jajem w oczy — ale nam, polskim rolnikom niejeden ćmiciel rzuca piaskiem w oczy i znosimy to spokojnie. Jeszcze oddajemy mu głosy przy wyborach, aby potem ćmił nie za darmo, tylko za dziesiątki!

Ważne dla gospodyń! W dniu 1 listopada b. r. rozpoczyna się nauka w szkole gospodyń wiejskich w Albigowej. Nauka obejmuje wszelkie działy kobiecego gospodarstwa domowego tak pod względem praktycznym, jak i teoretycznym, dzieli się zaś na dwa kursy:

1) zimowy (6-miesięczny) dla dziewcząt, chcących wiadomości nabyte stosować we własnem gospodarskie; 2) letni (również 6-miesięczny) przeznaczony dla tych, które pragną uzyskać świadectwa, ułatwiające im znalezienie pracy w większych gospodarstwach, jako pomocnice gospodarcze. Aby być przyjętą na kurs letni potrzeba się wykazać świadectwem ukończenia z dobrym postępem kursu zimowego.

Warunkiem przyjęcia na kurs zimowy jest: 16 rok życia, świadectwo moralnosci i świadectwo ukończenia z dobrym postępem szkoły ludowej. Kandydatki starsze i zdolniejsze mają pierwszeństwo. Opłata za zupełne utrzymanie wynosi miesięcznie 24 kor., może być jednak zniżoną dla uboższych, pochodzących zwłaszcza z powiatu łańcuckiego i przeworskiego. Chcące starać się o ulgi w opłacie mają przedstawić świadectwo ubóstwa. Podanie o przyjęcie (bez stempla) wnosić należy do Zarządu Szkoły gospodyń wiejskich w Albigowej obok Łańcuta, najpóźniej do dnia 20 października br.

Kącik humorystyczny.

Wytłómaczył.

— Twój ojciec dawno umarł?
— O, już będzie dziesięć lat..
— I na co?
— Ze zmartwienia, że... go powiesili.

Wytłomaczył.

Profesor wykłada w szkole o teatrze greckim i mówi między innemi:

— Starożytni Grecy budowali swoje teatry w ten sposób, że słuchacze siedzieć musieli na przedstawieniach pod gołem niebem...

Jeden z uczniów przerywa panu profesorowi:

— Przepraszam, ale co robili Grecy, kiedy podczas przedstawienia zaczął deszcz padać?

Profesor zdejmuje powoli okulary, czyści szkiełka, namyśja się trochę, wkłada znowu okulary na nos i powiada:

— Kiedy podczas przedstawienia w teatrze deszcz padał, to Grecy mokli.

Sposób.

Żona (do męża, który wraca późno do domu): I ty się nie wstydzisz w takim stanie wracać. Nie mogę patrzeć na ciebie!

Mąż: — Chwileczka, tylko zgaszę lampę.

W pokoju.

— Cóż u Boga, spaliłeś już ze sto zapałek, czegóż tam szukasz pod szafą?

— A jednej zapałki, która mi tam wpadła...

Ślepa krowa.

Wojtek: A przecie ta krowa, coście ją, Mosiek, sprzedali, na oba ślepie nie widzi...

Mosiek: Ny, a po co jej to patrzenie? Od patrzenia się nie utuczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej źreć słomę, to ona się nie dopatrzy, i będzie myślała, że to owies...

Trafna odpowiedź.

Nauczyciel: Pomyślcie sobie, żeby was pięciu dostało odemnie 30 gruszek, 40 wiśni, 20 jabłek i 40 śliwek i mielibyście się tem podzielić. Cóżby z was każdy dostał?

Ignaś (pewny siebie): Bólu brzucha, panie nauczycielu!

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

J. K. Brzeszcze. Serdeczne dzięki za dobre słowo. Więcej tak myślących, a rolnicy będą taką potęgą, jaką być powinni. Gazetki wysłane. **F. G. Przędzel.** Wysłane. **G. K. Markopole.** Chętnie wysyłamy. Prosimy o poparcie. **M. S. Mc. Cormick, Ameryka.** Wysłane. **M. J. Szczutków.** Wysłane. **L. N. Bulowice.** Wysyłamy. **W. G. Zbyszyce.** Otrzymane. **F. S. Torskie.** Wysyłamy. **J. G. Trzęsówka.** Otrzymaliśmy, wysyłamy gazetkę. **J. D. Niewiarów.** Początek powieści wysłany. **N. J. Bukowiec.** Gazetka dla J. H. wysłaliśmy, o broszurę o chowie królików napisaliśmy do Lwowa, bo tu jej niema na składzie. **W. K. Monacowica.** Wysyłamy. **S. K. Uniszowa.** Wysłane. **J. K. Markowa.** Otrzymaliśmy. Dziękujemy. **B. K. Pilchów.** Otrzymane. **J. K. Brzóza król.** Otrzymaliśmy, gazetka idzie. **J. M. Smigno.** Wysyłamy gazetkę także J. J. do Łukowej. Do Prus wyszlemy w tych dniach, bo teraz zmieniono przepisy pocztowe, musimy się zastosować. **F. K. poczta Horożanna wielka.** Otrzymaliśmy. **J. B. Międzyczerwienne.** Dziękujemy, gazetka idzie. **K. Z. Myców.** Wysłane. **L. D. Nockowa.** Otrzymane. **Przew. X. Proboszcz M. P. Jasień.** Dziękujemy, otrzymaliśmy. **A. J. Sanok.** Otrzymaliśmy, dziękujemy.

Zaproszenie do przedpłaty.

Przez czas dotychczasowego wychodzenia, *Rola* zdobyła sobie nader licznych przyjaciół, co z radością stwierdzamy. Odzywamy się też do nich:

Jeżeli pragniecie, aby obrona rolników odbywała się w zgodzie, wspólnemi siłami wszystkich posiadaczy ziemi;

jeżeli pragniecie, aby stan rolniczy, ten najliczniejszy stan w kraju cieszył się dobrobytem i wpływem na sprawy krajowe;

jeżeli pragniecie, aby szerzyła się dobra oświata, aby ustawały swary i kłótnie, które do niczego nie prowadzą, a tylko odbierają chęć do pracy na zagonie;

rozszerzajcie „Rolę“

między znajomymi i swojakami!

Rola będzie w obecnym kwartale prowadzoną tak samo jak dotychczas, to znaczy:

będzie dawała artykuły o sprawach obchodzących rolników, listy od rolników, wiersze, ciekawe kroniki, ceny zboża i bydła, będzie drukowała w dalszym ciągu bardzo ciekawą powieść z wojny japońsko-rosyjskiej p. t. „Nippon Banzaj!“, która to powieść zyskała sobie wielkie uznanie naszych czytelników, co z kartek otrzymywanych widzimy.

Aby zaś powieść była jeszcze ciekawszą, będziemy ją nadal

ilustrowali

obrazkami ludzi występujących w niej, strasznych bitew na lądzie i na morzu itd. itd.

Wreszcie *Rola* podawać będzie wesołe żarciki w „Kąciku humorystycznym“, wiadomości ze świata i z Polski, obchodzące polskich rolników, jednem słowem będzie dawała

przegląd wypadków współczesnych

zaopatrzony jak dotychczas

licznemi ilustracyami.

Prenumerata kosztuje na cały kwartał IV: t. j. do 31 grudnia 1907 r. tylko

jedną koronę.

Nowo przybywający abonenci otrzymają, ile zapas starczy, bezpłatnie

początek ciekawej powieści:

„NIPPON BANZAJ!“.

Należy się spieszyć z prenumeratą, bo zapas powieści nie jest już tak duży. Z powodu powszechnego zainteresowania, musieliśmy wysłać bardzo wiele egzemplarzy, tak, że zapasy zmniejszają się z każdym dniem. Kto chce mieć przeto początek powieści, musi wcześnie nadsyłać prenumeratę pod adresem:

Biuro dzienników Hopcasa i Salomonowej

Kraków, ul. Sławkowska.

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

7) (Ciąg dalszy).

Sylwetki statków ściganych i ścigających zapadały z wolna we mgłę, huk dział przygłuchał. Łupina wyszła cało.

Po paru godzinach Reitzenstein oddał ster Olkuskiemu.

Według planu Reitzensteina, przy przejeździe przez cieśninę koreańską, mieli się trzymać jak najbliżej japońskich brzegów.

Kierował odpowiednio statkiem i po dwóch godzinach jazdy ujrzał tuż przed sobą na horyzoncie, z lewej strony, ciemną linię.

Królestwo wschodzącego słońca!

Mimowoli zagapił się, przenosząc się badawczą myślą na te brzegi nieznane, mimowoli poruszyła mu się w głowie idea, że tam może z ufnością i spokojem myślą w tej chwili o swoich, walczących za kraj rodzinny na dalekich lądach, a tymczasem oto wróg przekrada się tuż, pod samym bokiem.

Nagle z daleka, z daleka, z prawej strony, usłyszał gwizdanie maszyny parostatku.

Obejrzał się. Na horyzoncie widniał na razie tylko ciemny, ledwo dostrzegalny słup dymu.

Naturalnie wracał do domu jakiś statek japoński!

Nie tracąc ani chwili czasu, zaalarmował Reitzensteina.

Ten przedewszystkiem zoryentował się w położeniu, następnie zajrzał do drobiazgowej sztabowej mapki japońskiej.

Znajdowali się akurat na wysokości Sasseho; według wskazań mapy brzeg japoński miał być w tem miejscu poszarpany w labirynt drobnych wysp, przedzielonych wązkimi kanałami.

— Na wszelki wypadek węgiel pod kocioł! — huknął przez tubę do maszyn pod pokład. — Jak najwięcej!

Potem pochwycił za lunetę.

Przez chwilę wpatrywał się z natężeniem w to miejsce na morzu, z którego wyrastał grzywiasty, z każdym momentem wyrazistszy dymek.

Naraz rzucił lunetę.

— Torped...! — krzyknął i wpół słowa skoczył do koła sterowego. — Torpedowiec!

Zakręcił szrubę steru, statek jak fryga zawarczał na miejscu, wyrzucając z pod skrzydeł kłęby spienionej wody, i poleciał wprost na brzeg.

---

*) „Niech żyje Japonia“!

Lecz inaczej przedstawiały się dla oka krzywizny brzegu na drobnej mapce, a inaczej w rzeczywistości.

Brzeg, który na mapie, a nawet w naturze z oddalenia wydawał się równo ściętym, w miarę zbliżania się, wydłużał się półkolem, tworząc zatokę, której prawe ramię już ich odgradzało od pełnego morza.

A z tyłu parł nieprzyjacielski statek, już było słychać głuchy łoskot szruby okrętowej, roztrącającej falę.

— Byle między wyspy! — mówił gorączkowo Reitzenstein. — Tu kanały głębokie, dostępne dla drobniejszych statków.

I rwał całą parą naprzód.

Brzeg wyrastał z morskiej topieli coraz wyżej, wyżej, już widać było zieleń, wzgórza porosłe drzewami, wreszcie domki jakiejś wioski czy miasteczka.

Lecz kanałów nie było widać. Na prawo i lewo wszędzie czerniała równa, nieprzerwana linia brzegu.

Reitzenstein bez czapki, z nabrzmiałemi na skroniach żyłami, oczy sobie poprostu wypatrywał i, jak rozbieganego konia wędzidłem, mimowoli hamował sterem jacht, który od pracy maszyn stękał i drżał.

A tymczasem statek nieprzyjacielski już do połowy wynurzył się czarnymi bokami z wody, już widocznie spostrzeżono na nim uciekających, bo naraz z jego szczytów zamigotały świetliste zygzaki, mające w języku marynarzy oznaczać:

— Stój, bo strzelę!

Sokół miotał się przy brzegu i tkał się dziobem w każdą podejrzaną szczelinę, jak mysz, osaczona przez kota.

Kanałów nie było.

Reitzensteinowi ręce drżały.

— Chyba się pomyliłem! — wyszeptał pobladłemi usty.

I raz jeszcze, zebrawszy na jedno mgnienie oka całą uwagę i całą swą znajomość rzeczy, zajrzał do mapy.

Tak, nie było wątpliwości! Omylił się — wprawdzie według mapy na jeden włos tylko — ale w naturze włos ten pęczniał do grubości paru mil.

Na moment stropił się. Ale tylko na moment. Już po chwili ogarnął wzrokiem całą sytuacyę przed sobą i za sobą, i już miał plan gotowy.

Raptownie skręcił w prawo i całą siłą pary pomknął wzdłuż kolistego brzegu, z widocznym zamiarem wyślizgnięcia się na pełne morze.

Torpedowiec japoński w lot pochwycił ten manewr i zmieniwszy również kierunek, nieco tylko powolniej, ze względu na rozmiary statku, pobiegł na przełaj. Nie strzelali, obawiając się zapewne puścić na dno statek, który pod pokładem mógł zawierać nader cenne rzeczy w korespondencyi, a może i gotowych planach. Pragnęli widocznie „żywcem“ wziąć upolowaną zwierzynę.

Szalony pościg trwał z pół godziny, japoński statek był już nawet nieco na przedzie, całkowicie odcinał drogę.

Reitzenstein na to tylko zdawał się czekać.

— Zamknij parę! — krzyknął.

I jednocześnie zebrawszy całą siłę w ramieniu, wykonał pełny obrót kołem.

Jacht zwinął się w miejscu jak sprężyna.

— Puszczaj, puszczaj! — wrzasnął.

I teraz dopiero *Sokół* rozwinął swoje loty.

Zanim torpedowiec mógł się zoryentować, oni już byli w połowie zatoki, już mknęli z powrotem, mierząc w brzeg o parę mil wyżej od tego miejsca, do którego pierwotnie dotarli.

Z torpedowca huknęło parę strzałów, już widocznie zrezygnowano tam z żywej zdobyczy.

— Puszczaj, puszczaj! — darł się na całe gardło Reitzenstein.

Stateczek jak piłka skakał po fali, zdawało się że się wreszcie rozpadnie.

Aż oto i brzeg.

Reitzenstein podskoczył radośnie przy sterze.

— Tu, tu, znam ten kanał! Teraz jeszcze ze dwa kilometry naprzód, potem na prawo i uratowaniśmy!

Lecieli po gładkiej ciemno-zielonej wodzie, między dwoma stopniowo zwężającymi się brzegami.

Bokiem migały drzewa, chaty, niekiedy z pośród zieleni wychyliła się postać ludzka i przysiadała nagle z otwartemi ustami.

To już była „kraina kwitnącej wiśni“ w samej swej istocie.

Kanał skręcał już na prawo, zaraz miał się zacząć labirynt wązkich rozgałęzień.

A niemniej ścigły torpedowiec japoński, który nadto miał do przebycia krótszą drogę, deptał już prawie po piętach, kule co moment wyrzucały na uciekających całe kłęby wody.

— Jeszcze minuta, dwie!

I naraz niespodziewana przeszkoda!

Tuż przed samym okrętem, w zacisznem, ogrzanem przez słonko miejscu, na całej szerokości kanału kołysała się jak stado kaczek, niezliczona ilość maleńkich łódeczek.

Leciał z nich gwar i śmiech. Cała niewieściodziecięca część ludności gromadziła się tu widać z sąsiednich wysepek dla zażycia kąpieli, czy zabawy.

Reitzenstein zadrżał na całem ciele.

Jednocześnie Okulski, który z kamery maszynowej wyszedł właśnie na pokład, wyciągnął przed siebie ręce i krzyknął ze zgrozą:

— Jezus, Marya!

A z tyłu, ze ścigającego okrętu, słychać już było nawoływania głosów ludzkich.

Reitzenstein zamknął oczy.

I stało się coś straszliwego.

Sokół z całym niepowstrzymanym impetem werżnął się jak sztylet w miazgę rozigranego drobiazgu.

Rozległ się nieludzki wrzask, kilkanaście pływających łupin prysnęło na kawałki, woda zakipiała od pluskających w nią, jak kluchy, krągłych ciał dziecięcych, od borykających się z topielą setek nóg i rąk... Droga, kędy przemknął statek, zapstrzyła

się nagle koliskami rdzawych plam, tu i ówdzie z boku, jak bania, wydymała się przez chwilę na wodzie szeroka szata niewieścia...

Sokół leciał dalej po ciemnozielonej fali, ze stalowego jego dzióba sączyły się w wodę wąziutkie niteczki krwi.

Reitzenstein stał przy sterze milczący, trupio blady, z dziwnie poczerniałemi, głęboko zapadniętemi oczami.

W dziesięć minut później, wzdłuż całego wybrzeża i telegrafem bez drutu na morze — leciała depesza:

„Statek rosyjski w labiryncie, zdąża na południe!"

W Porcie Artura.

Ulice i bulwary Portu Artura wyglądały jak stara podmiejska kuźnica po jarmarku.

Na wpół rozwalone, świecące czerwonemi cegłami mury, osmolone kominy, kawałki żelaziwa, drzazgi granatów, sterty śmiecia i gnoju, sterty ludzkiej i zwierzęcej mierzwy.

A nad tem wszystkiem nieustanny błysk i powolnie kołyszący się, dławiący, ciężki obłok czarnego, siarczanego dymu.

Czasami dawały się słyszeć wśród żołnierzy rosyjskich głosy buntu.

— Dlaczego się właściwie nie poddajemy, na co ten stary pies czeka jeszcze?

„Starym psem" nazywano pieszczotliwie istotnego obrońcę Portu Artura, generała Kondratienkę, podczas gdy nominalny komendant, generał Stössel, słynął pod ogólnem mianem „sobaki".



Kondratienko.

Lecz „Stary pies", gładził się po potężnej, łysej głowie i uśmiechał się blademi, wązkiemi wargami.

Ten stały, nie opuszczający go uśmiech, zdawał się mieć dwojakie znaczenie.

Albo:

— Poczekajcie dzieci! Aby do generalnego szturmu, aby tylko do szturmu!

Na to w załodze odzywało się jak echo:

— Ba, jemu łatwiej, nażył się, stary pies, dosyć. Ale nam, nam młode życie za co tu zagubiać!

Albo też mógł ten uśmiech przecinający jak nóż wązkie usta, tak samo oznaczać:

— Czuj duch, hołota, gęby na kłódkę i naprzód, lub kula w łeb!

I na to gęby istotnie zamykały się na kłódkę, ręce chwytały karabiny i pracowały z rozpaczą o każdą piędź, o każdy włos co dnia wymykającej się z pod stóp ziemi, bo Japończycy wdzierali się już do twierdzy.

Pewnego dnia, starego komendanta powaliła na łoże febra.

Natychmiast zawezwał paru oficerów i admirała Witthefta.



Witheft.

— Moi panowie! — powiedział. — Umierać nie mam jeszcze ochoty. Ale djabeł nie śpi. Dlatego chcę wam zwierzyć jedną rzecz, tylko pod przysięgą, że w razie czego nie zrobicie z niej zbyt lekkomyślnego użytku.

Oficerowie podnieśli palce do góry.

— Tak. A teraz chodźcie za mną.

Poprowadził ich do głównego fortu na „Złotej górze", na wybudowanie którego użyte zostały tylko ziemia i żelazo.

Po przebyciu trojga drzwi z kutej stali, zeszli do czarnej, ciasnej celki piwnicznej, w której stało coś w rodzaju niewielkiej, równie żelaznej skrzyni.

Kondratienko zdjął wieko, ujrzeli przed sobą szereg białych guziczków, ułożonych na płycie jak klawisze na organach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 8 października 1907).

Dalsza zwyżka cen w Budapeszcie, małe dowozy z powodu kopania kartofli i w ogóle małe zaofiarowa-

nie, wszystko to wpłynęło na usposobienie naszego dzisiejszego targu bardzo dodatnio. Odbył się on przy tendencyi bardzo silnej, a transakcye dochodziły do skutku z łatwością po cenach wyższych od ostatniego notowania.

Sprzedawano: pszenicę białą od 11·60—12·— kor., czerwoną od 11·60—12·— kor., żyto 10·40—11·20 kor., jęczmień 8·00—8·40, owies 7·70—8·—, groch zwykły 11·00—12·—, groch Victoria 11·50—14·50 (do siewu), na paszę 00·00—00·00, wyka nowa 7·00—8·00, bobik 8·00—8·75, kukurudza stara 00·00—00·00 kor., nowa 8·00—8·40 kor., Cinquantino 8·60—8·80 kor., otręby pszenne 6·75—7·00, otręby żytnie 7·10—7·30, rzepak 17·00—17·75, koniczyna nasienna czerw. 00·00—00·00 biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00. Wszystko za 50 klg.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 8 paźdz. br. spędzono na targsztuk: bydła rogatego rosłego 152, jałownika 75, cieląt 253, owiec i kóz 68, nierogacizny 486.— Razem 1034 sztuk. Woły z paszy płacono 200—333 koron za sztukę, woły opasowe od 000·00—000·00, krowy od 54·00 do 66·00, buhaje 000·00. Jałownik po 44·00—46·00, cielęta po 000·00 kor. za 1 cetnar metr. żywej wagi, cielęta na sztuki po 32—64 kor. nierogaciznę tuczną 90—92 koron za jeden centnar metr. żywej wagi, nierogaciznę tuczną po 128—142 kor. za 1 centn. metr. rzeźnej wagi, owce sztuka 20—24 kor. — Sprzedano dla miejscowej konsumcyi: bydła rogatego, cieląt i nierogacizny 944 sztuk. — Na eksport bydła rogatego 12 sztuk, nierogacizny 78 sztuk. Pozostało do drugiego targu — sztuk. Ceny powyższe bez opłaty akcyzowej.

BANK ZIEMSKI W ŁAŃCUCIE

zaleca kupno gruntów w następujących majątkach:

Błędowa

wieś w powiecie rzeszowskim, o 11 klm. od stacyi kolejowej i miasta Łańcuta. Gleba glinka urodzajne, położenie pagórkowate. Cena od 700—900 koron za mórg gruntu. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Bryń

wieś w powiecie stanisławowskim, oddalona o 3 klm. od stacyi kolejowej Bednarów, gdzie się znajduje kościół rz.-kat. Grunta w Bryniu są urodzajne glinki, łatwe do uprawy. Nabyć można pola orne, łąki, lasy zręby po cenie 300—700 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu udziela wszelkich wyjaśnień zarządca gospodarczy Józef Dołęga.

Bybło

wieś w powiecie przemyskim o 5 klm. od Nowego miasta, gdzie jest parafia rzym.-kat., szkoła polska, urząd pocztowy i telegraficzny oraz stacya kolejowa. Grunta pszenne, urodzajne, w cenie od 600—700 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Bystrzyca górna

wieś w powiecie ropczyckim oddalona o 14 klm. od stacyi kolejowej Sędziszów, gleba łatwa do uprawy, lekkie glinki o położeniu pagórkowatem. Cena gruntów ornych i łąk od 500—900 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu zarządca gospodarczy p. Antoni Inglot.

Jurków

wieś w powiecie brzeskim, oddalona o 20 klm. od stacyi kolejowej Brzesko, zaś o 10 klm. od miasteczka Zakliczyna Grunta glinki urodzajne z przymieszką piasku, pszenne o położeniu pagórkowatem. Cena za grunta orne i łąki od 400—1200 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Kołokolin

wieś w powiecie rohatyńskim. Kołokolin oddalony jest, o 7 klm. od stacyi kolejowej Bukaczowce, zaś o 1 klm. od Żurowa, gdzie znajduje się kościół rzym.-kat. i szkoła polska. Gleba bardzo dobra, przeważnie czarnoziem o położeniu nieco pagórkowatem. Cena gruntu i łąk 700—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a od 1 kwietnia Delegat Banku na miejscu w Kołokolinie. W Kołokolinie znajduje się fabryka gipsu i cementu a ponadto kopalnie alabastru i dotąd należycie nie eksploatowane pokłady marmuru.

Niedźwiada

majątek w powiecie ropczyckim, o 10 klm. dobrego gościńca od Ropczyc a o 3 klm. od Łączek kucharskich, gdzie jest parafia i poczta. Grunta są bardzo dobre, pszenne, łąki znakomite, słodkie, trzykośne. Cena gruntów za mórg od 800 kor. wyżej. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a każdego czwartku delegat Banku na miejscu w Niedźwiadzie.

Ostrów

wieś która bezpośrednio łączy się z miastem Przemyślem.

Przemyśl liczy przeszło 50.000 mieszkańców, jest siedzibą łacińskiego biskupstwa, posiada seminaryum duchowne obrządku rzymsko-katolickiego, dwa gimnazya, seminaryum nauczycielskie żeńskie, szkoły wydziałowe, starostwo, sąd obwodowy oraz liczne urzędy i finansowe instytucye. Przemyśl zapewnia łatwość kształcenia dzieci, zarobków i sprzedaży wszelkich produktów, jakie daje gospodarstwo rolne. Grunta w Ostrowie przeznaczone na sprzedaż pochodzą z parcelacyi miejscowego obszaru dworskiego. Grunta są bardzo dobre pszenne przeważnie czarnoziem. Cena za grunta orne i łąki począwszy od 1000 koron wyżej a za las koron 400 za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a począwszy od 1 kwietnia b. r. Delegat Banku na miejscu w Ostrowie.

Stadnia

wieś w powiecie złoczowskim, o 3 klm. drogi od stacyi kolejowej Skwarzawa, gdzie jest szkoła polska i kościół rzymsko-katolicki. Przeznaczone do parceli grunta są bardzo urodzajne, czarnoziem, bogaty w próchnicę. Można nabyć tak grunta orne, jak łąki za cenę 600—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a na miejscu Delegat Banku p. Kazimierz Żuławski.

Wołczyszczowice

wieś w powiecie mościskim. Odległość od stacyi kolejowej i miasta Sądowa Wisznia wynosi 12 klm. Grunta bardzo dobre, przeważnie pszenne w cenie od 700—900 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Wola łużańska

wieś w powiecie gorlickim, oddalona o 9 klm. od Gorlic. Stacya kolejowa, poczta i szkoła w miejscu, kościół oddalony o $1^1/_2$ klm. Grunta urodzajne lekko pagórkowate w cenie od 800 koron za morgę. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, zaś na miejscu zarządca gospodarczy p. Walenty Orłoś.

Wola sławna

folwark położony w gminie Straszęcin, powiat Ropczyce, o 5 klm. od miasta Dębica, a o 3 klm. od stacyi kolejowej Grabiny. W Dębicy znajduje się gimnazyum, sąd powiatowy, urząd pocztowy i znaczna ilość wojska. Dębica zapewnia łatwość kształcenia dzieci, zarobków i sprzedaży wszelkich produktów, jakie daje gospodarstwo rolne. Grunta rędziny oraz glinki z przymieszką piasku bardzo urodzajne. Cena od 600—800 koron za mórg. — Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu we dworze w Straszęcinie właściciel Wny Julian Bielański.

BANK ZIEMSKI

W ŁAŃCUCIE

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

1. **Nabywa majątki ziemskie** na parcelacyę i oddaje nabywcom rozparcelowane grunta na wieczność, wolne od wszelkich długów lub ciężarów hipotecznych.
2. **Tworzy gospodarstwa włościańskie** średnich rozmiarów w pojęciu ustawy z dnia 17 lutego 1905 r. Dz. ust. i rozp. kraj. Nr. 40 o tworzeniu włości rentowych.
3. **Udziela nabywcom gruntów kredytu** i zajmuje się wyrabianiem tanich i dogodnych pożyczek Banku krajowego, oraz pożyczek rentowych.
4. **Ułatwia swoim członkom** parcelacyę, kupno i sprzedaż majątków ziemskich.
5. **Reguluje** majątkowe stosunki członków.
6. **Przyjmuje wkładki** na rachunek bieżący, począwszy od 100 koron wyżej i opłaca od włożonych pieniędzy 5% z półrocznem oprocentowaniem.

Na złożoną gotówkę w rachunku bieżącym wydaje Bank na żądanie odpowiednie książeczki wkładkowe.

Podatek rentowy od złożonych pieniędzy opłaca Bank z własnych funduszów.

Zamiejscowym dostarcza Bank czeków pocztowej kasy Oszczędności.

Bank urzęduje codziennie od godz. 9 do 12 przed i od 4 do 7 po południu, z wyjątkiem niedziel i świąt rzymsko-katolickich.

DYREKCYA.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.